Rok 41. Kraków, dnia 15 lutego 1908 r. Nr. 4.

DJABEŁ



Pojedynczy Numer 40 hal.

Wychodzi dwa razy na miesiąc 1-go i 15-go.

Prenumeratę, listy, artykuły należy nadsyłać pod adresem:

Wydawnictwo „DJABŁA"
Kraków, ulica Niecała Nr. 3

Rękopisów nie zwraca się, ale bywają zniszczone.

W umieszczaniu ogłoszeń pośredniczą wszystkie agencye czasopism w kraju i zagranicą.

Przedpłata kwartalna:

w Krakowie i na prowincyi z przesyłką pocztową . koron 2·–
w Niemczech . . . . marek 2·50
w Amerycye rocznie . . dolar 2·50
we Francyi kwartalnie . frank. 3·–

Pojedynczy Numer 40 hal.

Czasopismo satyryczno-humorystyczne, ilustrowane.

Własność masy spadkowej po ś. p. Emilu Borkowskim. – Wydawca: **Władysław Borkowski.**

Do Sz. P. T. Prenumeratorów. Prosimy o odnowienie prenumeraty, która wynosi rocznie 8 K. kwartalnie 2 K.

Po ankiecie szkolnej.

Więc odbyła się ankieta,
A radziły mądre głowy,
Żeby w naszej szkole średniej
Zaprowadzić system nowy.

Każdy mówił bardzo mądrze
I to z praktyki nabytej,
Ten chciał szkoły dwustopniowej
Tamten szkoły jednolitej.

Trzeci uczyć chciał realiów,
Sam myślałem już »eureka«,
Po co **tyle tej łaciny?**
Na co zda się **cała greka?**

A już wnioskówby nie spisał
Na wołowej nawet skórze,
Ile mądrych słów stracono
O tej pladze, o **maturze!**

Jeden z radców (lecz na **pensji)**
Zdaje się, pan German śmiały,
Uznał cały ten egzamin
Za szkodliwy, przestarzały.

Pan minister drzemał pilnie,
Kołysany tą wymową,
A przy każdym nowym wniosku
Sympatycznie kiwał głową.

I przyrzekał mądrym radcom,
Z każdym licząc się krytykiem,
Że on wady wnet usunie
Jednym swoim **okólnikiem!**

Zapobiegnie przepełnieniu
Wskutek bardzo łatwej rady,
Tworząc w kraju jak najliczniej
Nowe szkoły i zakłady.

Ja, co jestem pesymistą,
Nauczony prawdą srogą,
Mimo słodkich obiecanek
Okólnikam czekał z trwogą!

Słusznie go się obawiałem,
Dziś to każdy z ojców czuje,
Przyszły po nim, jakby z worka,
Na tę biedną młodzież **dwóje!**

Pan minister wygrał sprawę,
Po co próżne więc hałasy?
Wskutek jego okólnika
Szybko się wyludnią klasy.

Biednych nie stać na opłatę,
Mundur też kosztowna odzież,
Do szkół będzie mogła chodzić
Dziś zasobna tylko młodzież!

Emanuel.

Wybory zwierzęce

Bajka.

W pewnem mieście (bajkopis nazwy nie pamięta)
Dla wyboru trzech posłów zeszły się zwierzęta.
(Trzech nie czterech, więc każdy niech w pamięci chowa,
Że tu nie ma aluzji żadnej do Krakowa).
Było stu kandydatów różnego rodzaju —
Każdy pragnął „swe siły poświęcić dla kraju".

Pierwszym był dzielny gniadosz, silny w nogach, w pysku
Głośny, że nic nie robił dla własnego zysku:
Prostą drogą biegł zawsze, nie ustawał w pracy,
Za to go czworonożni cenili rodacy.
I byłby został posłem, gdyby mu część bydła
Nie zrobiła zarzutu, że nie zna... wędzidła,
A jeśli brudne łapy dostrzeże u kogo,
To nawet dygnitarza kopnie zadnią nogą.

Drugim był pies owczarski, stróż wierny, uczciwy,
W każdej sprawie baraniej sędzia sprawiedliwy;
Jako pies był odważny, mądry, wyszczekany,
Więc chociaż go się bały, to czciły barany.
Ten nawet od gniadosza mógł mieć większe szanse,
Lecz veto położyły świnie i szympanse:
„Czyż nie wiecie«, wołały, «że się ciągle dąsa,
Zowie nas bezrogami, małpami — i kąsa?«

Inni też kandydaci ulegli krytyce:
Słoń, że trąbą się szczyci i ma dumne lice;
Kozioł, że brodę nosi i bywa uparty;
Byk, że go się trzymają nieprzystojne żarty;
Sokół, że za wysoko pod niebiosa lata;
Bocian, że akuszerką jest całego świata;
Szczupak, że wodę pije, ladajaki trunek;
Kogut, że ma jaskrawy z płcią piękną stosunek;
Niedźwiedź, że jest zaciężki i niemile mruczy;
Pszczoła że żądło wbija, gdy jej kto dokuczy;
Żółw, że chodzi pomału — sarna, że zbyt leci;
Królik, że bez rachunku produkuje dzieci;
Słowik, że jest dla kotów swym śpiewem pokusą;
Zając, że się ubiera nieskromnie, bo kuso: —
Słowem, różne zwierzęta, czy małe, czy duże;
Podległy bardzo ostrej sąsiedzkiej cenzurze.

Słysząc to lis przebiegły palnął długą mówkę
(Mówią, że dostał za nią dość grubą łapówkę) —
Dowiódł argumentami, że najlepszym z posłów
Będzie jeden z obecnych na zebraniu osłów,
„Bo choć zgraja oszczerców drwi z jego głupoty,
»Świat cały skłania głowę przed oślemi cnoty:
»Przed spokojem, krwią zimną, oznaką rozsądku —
»Osioł był zawsze stróżem ładu i porządku!«

W tem miejscu ze stron wszystkich zahuczało brawo.
Lis się skłonił i dalej rzecz swą ciągnął żwawo:
»Drugiego kandydata wymienię jedynie,
»A złączę wszystkie głosy... wszakże znacie świnię?
»Cicha, spokojna, nigdy nie zamąci wody,
»Chętna do jadła, picia i do miłej zgody;
»Niechaj się inni kłócą — ona chce w spokoju
»Napełnić swój żołądek i odpocząć w gnoju«.

Długo trwały oklaski — poczem *unisono*
Obie kandydatury zgodnie uchwalono.
Wreszcie w pośród okrzyków i głośnych wiwatów,
Uznano, że wypada »oblać« kandydatów.

Wtem wąż mądry zawołał: »poczekajcie dzieci!
»Wszakże mamy trzy miejsca — gdzież kandydat trzeci?«
Więc lis się zarumienił, a wszystkie be-styje
Krzyknęły: lisa chcemy! niechaj lis nam żyje!

Tak zgodnie, jednomyślnie i z kraju pożytkiem,
Konia i psa wiernego odprawiono z kwitkiem.

K. B.



WICEK SOCYALIK.

Poszedłem psiokrew na on wiec o kirniach.[1]) Morowy ci był. Narodu było parę pitnaście tysincy, a hańbowania okrutna kupa. Szyściu aże pryzesów bimbonem bimboniło[2]) i furt krzyczało: uciszta sie panowie! — a naród śmioł się i hańbowoł jak na Ignacowym kazaniu.

Z początku nie kapowałem psiokrew o co chodzi. Myślołem, co naród kce pretestuwać przeciw zamykaniu kirni w niedzile, jak tego kcą (hańba!) różne psiokrew zatracone sufragany i badyniaki. Ale co chtóry pierlegent jadaczkę otworzuł, kużden psiokrew psioczył na trunkowość i jajczył co kirnie są w niedzile otwarte. W ładne ci psiokrew wlozłem towarzystwo!

Jedyn to ci pedzioł, co kużda blacha to jedyn dziń bliżyj śmierci. Taki ci chłop pomylony! Gdyby to była psiokrew prowda, to jo jako harę od cztyrdziestu lat szanujący, a niżyj pitnaście blach na dzień nie pijący, ujonem se najmnij 600 lat życia. Takie ci austrjackie gadanie.

Tygo ci psiokrew te źgace nie kapują, co zamknińcie szynków w niedzile, to by ci był psiokrew zamach na »najświntsze krwią wywalczone prawo klasy pracującej« jak peda *Naprzód.* To by ci było gorsze psiokrew »wywłaszczynie« jak u Prusoka — bo Prusok ino psiokrew ciało gnynbi, a tu by psiokrew gnynbiono ducha narodu. Bo coby psiokrew naród robiuł, jakby mu jedyną psiokrew przyjemność wydarto? Ni mom wyobrażynio o poińciu jakby sie psiokrew mogły odbywać wybory. W Krakowie na ten przykłod bedom wybory drugigo marca w ponidziałek, —

[1]) Szynkach. [2]) Dzwonkiem dzwoniło.

więc gdzieby psiokrew było w niedzile agituwać za mynżami kcącymi się poświęcić lo dobra narodu?

Mnie sie widzi, co gdyby psiokrew kirnie od soboty w wieczór i bez całą niedziię zamykano, toby u nos psiokrew wybuchła winksza leworucja jak w onyj Portugalji, bo naród nic robić nie mający, zaraby psiokrew zaczon myśleć, kumbinować, a jak naród psiokrew myśli i kumbinuje to źle, bo zara psiokrew kce na jenszy manier świat uładzić!

Jo tem, prawdę rzekący, nimom nijakigo boja coby psiokrew ono nieszczyńście na naród spadło. Naprzód psiokrew szynkarzy i ludzi trunkowych jest okrutna kupa, więc żadna partyjo, ani dymokraty, ani konserwaty, nie śmią się im narazić, bo by im przy wyborach pokazali cwancygiera z dziurką. Na taką psiokrew nikczemność nie pozwoli tyż Korytoski, bo by mioł w dolinie guzik. Szlachta i gudłoje mają psiokrew gorzylnie, a bez nich to by musieli wandrować do Hameryki. A i Lyo miołby to powóz, gdyby miasto nie miało z trunkowości prefitu?

A i to lo mnie jest znak co z tygo zamachu na kirnie nici bedom, że psiokrew na onym wiecu nie było ani jednygo, pedom jeszcze raz ani jednygo dymokraty. Były stańczyki, byli ludowcy, towarzysze, ale dymokraty ani poświcił. Lotygo tyż były pryzysy wszelkich partyjności, ino dymokratycznyj nie. A jako dymokraty terą górą — więc kirniom psiokrew ani wiór z makowy nie zlizie [1]). Lotygo bez cały ten misiąc nie zminię najświętszych przykonań i do pirszygo ostanę dymokratą.

»Żydzie, dej psiokrew blachę — zdrowie jaśnie wilmożnych dymokratów!»

[1]) Ani włos z głowy nie spadnie

W Berlinie.

Zdejmuje szwabów strach
Drżą junkry i landraty,
Rządowy przyszły krach
Dziś czują te psubraty.
Śni im się ogień, dym,
I słyszą buntu głosy,
Już idą przeciw nim
Maczugi, cepy, kosy.

Budzi się ze snu lud,
Trwać nie chce w drzemki stanie,
Brzmi okrzyk, nieznany wprzód:
»Powszechne głosowanie«.

Fürst Bülow kręci wąs
I uśmiech robi z trudem,
Pójdzie niebawem w pląs
Z zbudzonym ze snu ludem.

Już despotyzmu zmierzch
Do Prus przychodzi zdala,
Przerwie się przez tam wierzch
Wolności huczna fala.
Wśród szarych ludzi mas
Już oko gniewem błyska,
Przyjdzie na szwabów czas
Jak kreska na Matyska.

Kalendarzyk od 16 lutego do końca miesiąca.

16 *Niedziela.* Lea cudotwórcy.
17 *Poniedziałek.* Jaworskiego stańczyka.
18 *Wtorek.* Konopińskiego delegata.
19 *Środa.* Ulanowskiego pustelnika.
20 *Czwartek.* Federowicza agitatora.
21 *Piątek.* Turskiego na 5 stołkach.
22 *Sobota.* Beringera malarza.
23 *Niedziela.* Sarego biskupa.
24 *Poniedziałek.* Szarskiego chrzciciela.
25 *Wtorek.* Sołtysika opata.
26 *Środa.* Bandrowskiego szpicyfindra.
27 *Czwartek.* Chylińskiego męczennika.
28 *Piątek.* Łepkowskiego kominiarza.
29 *Sobota.* Tarnowskiego papieża.

Redakcja *Djabła* wzywa Bank austro-węgierski, aby jej wypłacił 5000 koron za znalezienie złodzieja 50.000 koron. Redakcja postawi świadków, że jeden z jej współpracowników na pierwszą wiadomość o kradzieży stanowczo twierdził, że dokonał jej Lichota. Co prawda ludzi którzy na tę myśl zaraz wpadli, było w Krakowie przynajmniej koło tysiąca. Tak więc Bankowi austro-węgierskiemu wypadnie wypłacić tysiąc razy po 5000, co wyniesie 5 milionów koron.

Z chwili.

Prezydent Leo zwołał **wielki** komitet, który postanowił postawić **mały** pomniczek ś. p. Jordanowi.

Wyższość Krakowa nad Lwowem wyszła na jaw przy uchwalaniu budżetu lwowskiego. Prezydent pobiera we Lwowie tylko 12.000 koron, a wiceprezydent 6.000.

Niesłychane zamiecie śnieżne zasypały między innemi resztę zasad krakowskiego mieszczaństwa. Przed sześciu laty, kiedy było ono konserwatywnem, nie chciało w żaden sposób dopuścić do wyboru żyda na posła, i głosowało nawet na ultrademokratę Rottera — obecnie jak jeden mąż stanie ono za kandydatem żydowskim bez względu kto nim będzie. Jak szybko postępuje... Leodemokratyzacya.

W sklepie „patrjoty".

Klient. — Co pan za boczne wejście urządził?

Patrjota. — Widzi pan, front mam bojkotowy, a tędy można się dostać do cichego składziku towarów pruskich.

Pan Aleksiejew w Warszawie.

Pan Aleksiejew z nad Newy
Przyjechał do nas na święta;
Że jest on prawy, nie lewy,
Nikt mu swobody nie pętał.
Idąc spoglądał do koła
Nagle zmieniły się rysy:
»Co! dotąd jeszcze — zawołał —
Polskie na szyldach napisy!«

W pośpiechu na baby wleciał
Pan Aleksiejew dobrodziej —
„Piermietie" — grzecznie powiedział,
A ona na to: »nie szkodzi.«
Zgniewał się poseł mniejszości,
Co kłopot z polską ma zgrają —
»Co to!... wykrzyknął wśród złości —
Jeszcze papolski gadają!«

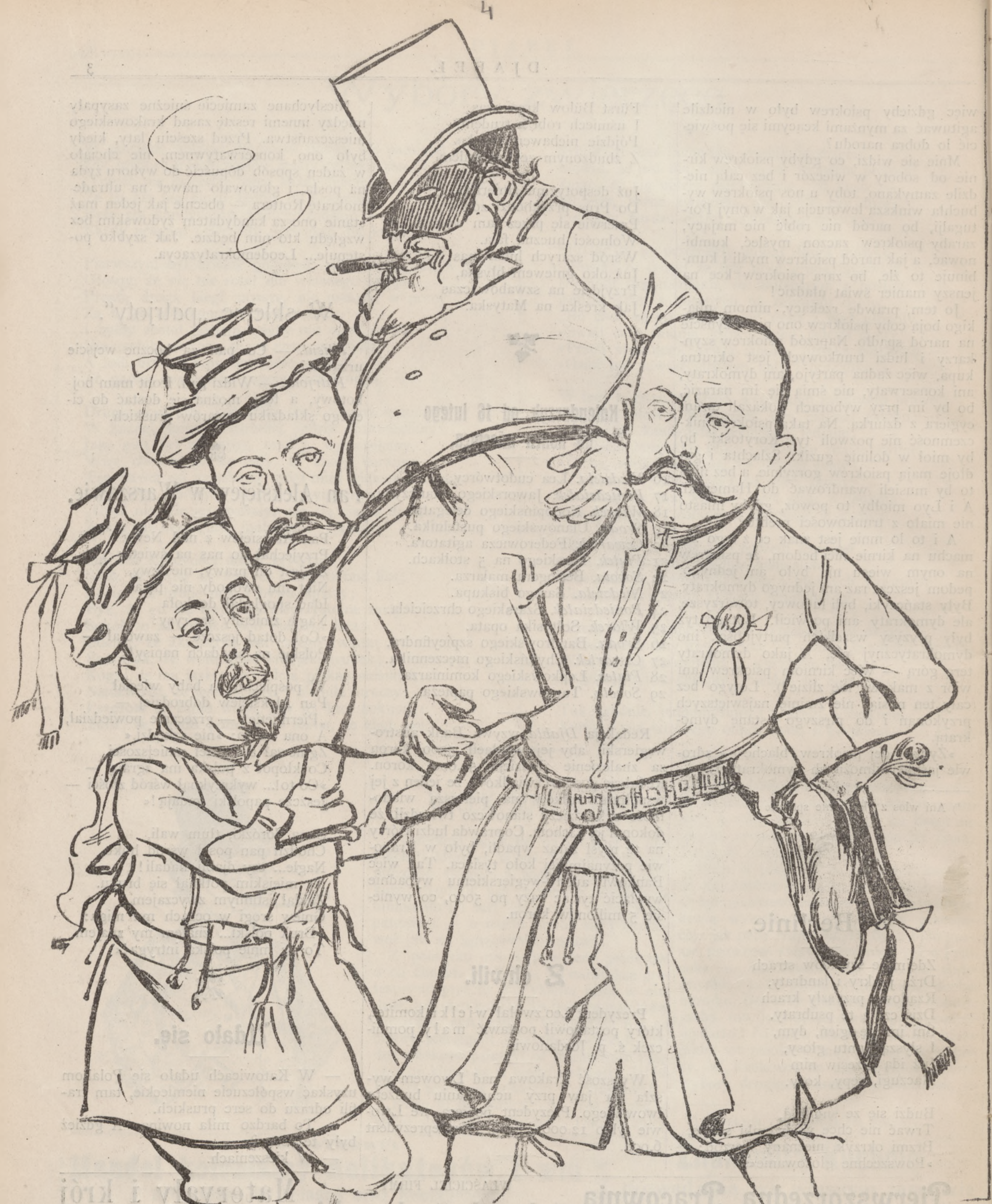
Suną dorożki, tłum wali,
Chodził pan poseł wśród huku,
Nagle... czy djabli nadali!
Na miejskim potknął się bruku.
Zaklął istinnym zwyczajem
Gniew srogi w oczach mu miga:
»Bruk polski... znajem my znajem
To na mnie polska intryga!«

Udało się.

— W Katowicach udało się Polakom uzyskać współczucie niemieckie, tam trafili odrazu do serc pruskich.

— To bardzo miła nowina. A gdzież były te serca?

— W kieszeniach.



Do swej trójki demokraci dobierają żyda,
Aby został czwartym posłem naszego Krakowa.
On im w zamian Kazimierskie wszystkie głosy przyda —
Tranzakcya niehonorowa, ale zato zdrowa.
Zostawili żydom wybór — kto chce niech skorzysta

(Wobec »zasad« demokratów wszystkie inne bledną)
Niech to będzie syonista czy konserwatysta,
Socyalista lub liberał wszak to wszystko jedno.
W tym pomyśle się zaznaczył znów leowski spryt
Niech będzie i hakatysta! — byle tylko żyd.



Bülowowi izba panów zrobiła obstrukcyę
Bo jej w niesmak jakoś poszło owo wywłaszczenie, —
A więc czując wnętrzu swojem srogą rewolucyę,
Zdobył się na krok stanowczy, — wziął na przeczyszczenie.

Tarcza herbowa.

— Nadprokurałor w Berlinie, Isenbiel, powiedział w sprawie Hardena, że tarcza herbowa Moltkego jest zupełnie czysta.

— Z przodu tak, z tyłu nie.

Pod sekretem.

»Arbeiter Ztg.« zarzuciła posłowi Starkowi, że dla interesów osobistych popełnił zdradę polityczną i zdradę zasad. Poseł Stark zaskarżył o obrazę czci redaktora Wintera. Sąd wydał wyrok uwalniający »ponieważ (cytujemy *Nową Reformę)* oskarżonemu dowód prawdy co do zdrady politycznej i zdrady zasad w zupełności się udał«.

Szanowni czytelnicy nie rozgłaszajcie tej wiadomości, bo nużby u nas powstały procesy o zdradę zasad; — aj, aj, coby to było smrodu.

Idealny fach w Królestwie.

— Skąd się bierze taka masa bandytów?

— Bo to idealny fach.

— Dlaczego?

— Żyje sobie jak pan, nic nie robi, zarabia dobrze, a jeśli go złapią, to go nawet śmierć i pogrzeb ani centa nie kosztują.

Z obserwacji Warszawy.

Warszawa stała się tak rozbawionem miastem, że nawet każdy sklep i sklepik krawiecki, dzięki nie tyle »farsom« ile »bombom«, stał się w roku 1907 salonem rozrywek.

Pytanie

(nadesłane).

Szanowny Djable! Proszę mi wyjaśnić zagadkę: dlaczego kiedy wszyscy prezesi »Sokołów« zagajają uroczystości narodowe (tak n. p. na Podgórzu prezes Emilewicz wygłosił świeżo słowo wstępne przy obchodzie r. 1863) prezes »Sokoła« krakowskiego nigdy nie raczy na takich uroczystościach zabrać głosu, a zawsze wyręcza się zaproszonymi mówcami i prelegentami?

Przypuszczaćby należało, że p. Turski:

a) albo jest niemową (czemu przeczą jego toasty wygłaszane na kolacyjkach),

b) albo nie chce się narażać pewnym sferom,

c) albo jest wygodnickim,

d) albo wreszcie uważa za ubliżające swej godności branie udziału w takich tam »szopkach patrjotycznych«.

Prosimy o łaskawą odpowiedź,

Kilku członków »Sokoła«.

Odp. Redakcji. Zbyt mało znamy p. Turskiego, abyśmy mogli swój sąd wydać. Członkowie Sokoła lepiej go znają, a więc niech sami sobie odpowiedzą.

Nekrolog po guldenie!

Jakże u mnie byłeś w cenie,
O, ty srebrny mój guldenie!
Twój kształt i twój dźwięk,
Razem z tobą rosłem w lata,
Tobą mierzył wartość świata.
Życia czar i wdzięk!

Tyś najmilszym był mi fantem,
Gdym był w szkole premiantem,
Za pilności żar,
Ciebie miałem za uznanie,
W dzień imienin na wiązanie
Upragniony dar.

Gdym w kieszeni czuł guldena,
Rósł mi humor, rosła wena,
Mężniał zapas sił,
W tej srebrzystej etykiecie,
Jakby posmak po bankiecie
Czar użycia tkwił!

Dziś zepsuły się te czasy,
A korony jak parjasy
Bez wartości grat,
Ledwo człowiek jedną zmieni,
A za moment już z kieszeni
Znika po niej ślad.

Zatem w tej rozstania dobie,
Gdy bank ciebie składa w grobie,
Łza w mych oczach tkwi,
Zmalał pieniądz w swojej cenie,
A więc żegnaj mi guldenie,
Świadku lepszych dni!

Nelin.

Historja o krakowskich kominach!

Choć tu w naszem starem mieście
Wszystko idzie jakby z płatka,
Przecież panom prezydentom
Spędza z oczu sen — zagadka.

Chodzą z głową więc zadartą,
Rada, Urząd budowniczy,
Każdy patrzy jak astronom
I kominy głośno liczy.

Po co? na co? bo ta sprawa
Nad Krakowem ciężko waży,
Budząc protest kamienicznych
I zachłanność kominiarzy.

Ja, co stoję na uboczu,
Wobec partyj, z całym strachem,
Wiem, że komin był kominem,
Skoro sterczał ponad dachem.

Dziś na nowych kamienicach
Słuszny komin, okaz rzadki,
By dym z pieców szedł w powietrze
Są otwory i szufladki.

I w tem właśnie, cały konflikt,
Co wszedł klinem radnym w głowę,
Czy trza płacić kominiarzom
Od szufladek — kominowe?

Pragnąc w zgodzie być z partjami,
Niech uchwałę Rada stworzy:
Od szufladek kominowe
Mają płacić... lokatorzy!

Nelin.

Polityczny bigos.

W Portugalji, w Lizabonie,
W zaślepieniu niepojętem,
Lud zastrzelił swego króla
I to na śmierć, wraz z regentem!

A w Krakowie, zuch pan Leo,
Bez kłopotu i fatygi,
Razem z sprawą honorową
Schował się pod płaszczyk ligi.

Mężny Stössel od Wilhelma
Znaczny order dostał w darze,
Dzisiaj jego za tchórzostwo
Sąd rosyjski śmiercią karze.

A w Krakowie epidemji
Gdy dziś cała fura bryka,
Chcąc zapobiedz Rada miejska
Pensjonuje w lot fizyka.

Ja, co z boku na to patrzę,
Ani myśląc o urzędzie,
Pytam — Wilhelm? czy sędziowie?
Czy też Rada miejska? w błędzie!

Nelin.

Gdy mu w śniegu stanął pociąg.

(Niewesoła historja z karnawału).

W soli się zamienił posąg
Z desperacji i ze żalu,
Gdy mu w śniegu stanął pociąg,
A on dziś miał być na balu.

W czystem polu, wiatr, zadymka,
Głodno, chłodno, brak jedzenia,
W perspektywie twarda drzemka
Z samych nudów i znużenia.

A tu ledwie mile cztery,
Jak puch, taka pyszna sanna
I ta jazda, nie chimery,
Bo tam czeka jego panna.

Kto w swem życiu raz był młody,
O miłosnych śnił rozkoszach,
Z wichrem pogna sam w zawody,
Choć w paltocie i kaloszach.

I nasz panicz krzepiąc ducha,
A zadymkę mając za nic.
Wsiadł na sanki bez kożucha,
A co gorsza, bez baranic!

Ale miłość, chociaż grzeje,
Chociaż szybko suną sanki,
Nie jedź chłopcze przez zawieje...
W paltociku... do bogdanki...

Z wymarzoną jego panną
Brzydki rywal się wyhasał,
A on jadąc konną sanną,
Co karczemka wciąż popasał.

I ugrząźłszy cały w słomie,
Czerpał ciepło z okowity,
Chłonąc w siebie ją łakomie
Rankiem w mieście stanął... spity.

Przeziębnięty w każdym calu,
Długie czasy klął ze żalem,
Bo panienka na tym balu
Zaręczyła się z rywalem!

Nelin.

Sylwetki

(kandydatów poselskich do sejmu).

4. Teofil Merunowicz.

Jest z urzędu sekretarzem,
Główna jego w tem zaleta,
Że cichaczem w Narodówce
Sam rozgłasza swe sekreta.

Będąc przytem dziennikarzem,
Myśląc wciąż o całym świecie,
Nigdy nie wie co się dzieje
W powierzonym mu powiecie.

Choć mandatu chce od ludu,
Chociaż niby demokrata,
Lecz, że przesiąkł Narodówką,
Więc z panami rad się brata.

Na tem nieźle też wychodził,
Chociaż zdolność bardzo średnia,
Z łaski panów w swoim czasie
Miał mandacik i do Wiednia.

A do sejmu dziś gdy wejdzie,
Ani dojrzy małej plamki,
Jak rzuciwszy demokratów,
Znów się chwyci pańskiej klamki.

5. Franciszek Tomaszewski.

Niespożytej człowiek pracy,
Lecz nie deklamator
I głębokiej pełen wiedzy,
Choć średni orator.

Za cel mając szczery zachód
Nigdy się nie cofa,
Nosi w piersi serce dziecka
A myśl filozofa.

Skory w czynach, skąpy w słowach,
Każdy trud podejmie,
To robotnik, jakich mało,
Odnajdzie się w sejmie.

Za swą pracę on nie goni
Za żadną zapłatą,
A ambicja jego cała,
Że jest demokratą. (C. d. n.)

Z BRUKU.

(O »słomianym ogniu«, jako zwykłem, a specyficznie krakowskiem zjawisku; jeszcze nieco o bojkocie pruskich towarów; uwaga »na czasie« o piwie; smutny koniec wesołej (chociaż nie bardzo) afery.

Słomiany ogień uczuć
Pogardy dla Prusaków
Dopalać się zaczyna...
Przykładem dobrym — Kraków.
Bo ileż tutaj wieców
W tej sprawie się odbyło
I mimoto znów teraz
Tak wszystko jest jak było.
Bojkotu hasło dawno
Bez echa już przebrzmiało,
Wszak dla nas myśl bez czynu
To przecież niezbyt mało!
A Prusak z naszych »chęci«
Do łez się w kułak śmieje,
Bo widzi, że myśl dobra
W zarodku — kamienieje.
I »Liga przemysłowa«
Podjęła trudy próżne,
Wskazując nam towary
I pruskie firmy różne,
Co naszej egzystencji
Zapowiedź klęski głoszą
I naszym krwawym potem
Dziś stale się panoszą,
Bo, jako Bóg na niebie,
Jak dawniej tak i teraz
Towarów pruskich sami
Szukamy nawet nieraz!
I Prusak jak rok długi
Ma u nas dobre żniwo
(Pominę setki rzeczy,
Bo mam na myśli — piwo!)
A często widzieć można
W handelku — Polak krewki
Pragnienie chcąc ugasić
Wciąż spija szwabskie zlewki.
I wiedzieć nie chce o tem,
Że polskie są browary,
Gdy zechce dobre piwo
Z nich może pić bez miary.
Czy wie, czy wiedzieć nie chce,
Że wróg nasz zyska na tem,
Gdy jego piwo będzie
Pić zimą jak i latem...
A często się też dzieje,
Że Prusak zyskiem wzgardzi,
Da taniej, aby przemysł
Nasz polski upadł bardziej.
Więc strzedz się, by panowie
Z Karwina i Ostrawy,
Tak z Bielska, jak Opawy
Nie mieli u nas strawy.
Niech każdy z nich gdzie zechce
Za zyskiem swoim goni,
Lecz w polskim naszym grodzie
Niechaj go Pan Bóg broni.
Tym panom dam już spokój,
Do innej przejdę szajki,
Ta druga tak zabawna
Jak fragment z jakiej bajki.
Ot, dwóch przyjaciół było
A obaj żądni złota,
(Nawiasem mówiąc: straszna
Moralna to lichota).
Sądzili, że zbyt łatwo
Wnet przyjdą do majątku
Lecz cóż? gdy pech ich ścigał

Już zaraz od początku.
Co prawda, obaj mieli
I spryt i dowcip rzadki
Lecz cóż, gdy koniec znowu
Afery niezbyt gładki.
Bo kiedy ciężką torbę
Z nich jeden uniósł w pole
Sam sobie drugi spólnik
Zadawał straszne bole.
To bił się i kaleczył.
To kopał znów i dusił,
Pytanie: po cóż o te
Tortury się pokusił?
Bo kiedy wina cała
Na spółkę zacną spadła
Z nich jeden znów drugiemu
Za skórę nalał sadła.
Nie bacząc na najświętsze
I słowa i przysięgi,
Wnet w śledztwie z płaczem wyznał
Gdzie ukrył złote »dzięgi«.
I smutny koniec sprawę
Wesołą dosyć wieńczy
Nie pomógł im tu dowcip,
Ni zapał ich młodzieńczy.
I stwierdza się to znane
Przysłowie o jaskółce,
Jakkolwiek o »złodziejskiej«
Zamilcza ono spółce.
A zresztą na refleksje
Na myśli i na żale
Dość chyba jeszcze czasu
Mieć będą w — kryminale!

W szkole.

Nauczyciel upomina ucznia, aby wziął się żywo do pracy, w przeciwnym bowiem razie jego postępowanie łatwo może ojca przyprawić o siwiznę.

— Niema obawy — odpowiada uczeń, bo mój ojciec tak już ołysiał, że mu pewnie żaden włos nie zesiwieje.

Dobrane małżeństwo.

W pewnem stadle dzień na dzień
Ciągłe kłótnie i swary,
Żona płocha, bo młoda,
Mąż gderliwy — bo stary!

Raz też mówi do męża,
Chcąc go całkiem zahukać:
»Mogłeś sobie odemnie
Głupszej żony poszukać«!

A mąż na to rzekł z cicha,
Tak, jak gdyby do siebie:
»Chciałem, alem nie znalazł
Nigdzie głupszej od ciebie«!...

KRONIKA KRAKOWSKA.

Treść: Pojedynek prezydenta p. Lea z radnymi miasta. — Nadgrobek dla prezydenta Lea. — Skutki nieodbycia pojedynków. — Morderstwo w Portugalii i Stowarzyszenie właścicieli realności w Krakowie.

Z zapartym oddechem oczekiwali mieszkańcy Krakowa wyniku pojedynków prezydenta p. Lea z radnymi miasta. Pojedynki te odbyć się miały na Wawelu, w podwórcu przeznaczonym na turnieje, który p. Hendel na tę uroczystość przyrzekł odrestaurować.

Przeciwnicy mieli się bić pieszo i na koniach magistrackich toporami, bombami, świdrami, siekierami, halebardami nocnych stróżów i brauningami. Nie ulegało też żadnej wątpliwości, że, wobec znacznej ilości przeciwników, prezydent Leo zostanie uśmiercony. Wielu obywateli miasta widziało już we fantazji wspaniały pogrzeb zdążający na Skałkę, tłumy kardynałów, biskupów, straż akcyzową, rzeźników z nożami, króla kurkowego, straż honorową, muzykę weteranów, liczne zakony, deputację ekspresów, oglądaczy bydła, filatelistów, kominiarzy, masarzy i t. p. bez których w Krakowie żaden wielki człowiek pochowany być nie może. Przedsiębiorcy pogrzebowi lakierowali karawany, wietrzyli trumny; ogrodnicy wili wieńce z liści bobkowych; fotografowie przygotowywali płyty do zdjęć, gazety przygotowywały nekrologi, kupcy sprowadzili krepy i czarne rękawiczki i cieszyli się, że zrobią świetny interes.

Jan Kanty uczył się mowy pogrzebowej, artyści teatru uczyli się pogrzebowego chodu; mandoliniści wygrywali marsza żałobnego; komendant straży akcyzowej, starał się swej cudnej postaci z tyłu i z przodu nadać wyraz głębokiego smutku i przygnębienia, a kandydaci na prezydenta czyścili benzyną fraki i krawatki. Jeden z celniejszych poetów napisał już nawet dla prezydenta Lea bardzo piękny nadgrobek, który tak opiewa:

†

D. O. M.

Wstrzymaj pedały, przechodniu kochany,
Bo tu nie leży pies, ani też sowa,
Ale mąż dzielny, co Leem był zwany,
Co prezydentem był miasta Krakowa,
Ogromnie wielkie położył zasługi,
Lecz jeszcze większe pozaciągał długi!
Po błocie nigdy nie chodził z tej racji,
Że mu i konie i powóz sprawili,
Miał też mieszkanie dla reprezentacji,
O co się rajcy niektórzy złościli.
Konserwatystą był gdy się urodził,
A demokratą, gdy ze świata schodził
Automobilem wywoził śnieg biały,
We fortepianie różne nieczystości,
A gdy betonem okrył Kraków cały
Został uwieńczon i siedzi w wieczności,
Cały go Kraków ogromnie żałował,
I na koszt własny w tym grobie pochował.
Przechodniu, westchnij, lecz westchnij [siarczyście,
Aby się djabli nad nim zlitowali,
Aby go w piekle, gdzie jest oczywiście,
Nie w zbyt gorącej smole gotowali
I by mu wkrótce do piekła strasznego
Na pomoc wysłał los Jana Kantego.

Niestety, zawiódł nas p. Leo boleśnie, bardzo boleśnie, bo pojedynki się nie odbyły. Wobec tego stracił współczucie i jeżeli się nie zrehabilituje i dla dobra miasta jak ś. p. Winkelried nie da sobie w pojedynku wpakować w pierś lub w inną część ciała parę lanc i mieczów, ja moją przychylność dla niego cofam. Jeżeli się jednak ocknie i uczyni tak, jak mu radzę, sam będę za tem agitować, aby celem wystawienia mu pomnika, utworzono komitet pomnikowy, na wzór komitetów mających na celu wystawić pomnik Kazimierzowi Wielkiemu, Tadeuszowi Kościuszce, Bałuckiemu i Jordanowi. Wprawdzie pomnik nie prędko stanie, bo n. p. z pomnika Kazimierza Wielkiego nic jeszcze niema; z pomnika Kościuszki jest dopiero jedna noga od konia; z pomnika Jordana dopiero myśl, co się ma w czyn skrystalizować, a odlew gipsowy pomnika Bałuckiego już jest gotów i najpierw stał w przedpokoju »Koła literackiego« potem w sieni klubu prawników, a obecnie gdzieś leży na strychu i prędko wykonany nie będzie, ale nadzieja, że się choćby za sto lat pomnik dostanie zawsze jest piękną. Panie prezydencie popraw się.

Kończąc kronikę jeszcze donoszę, że nasi anarchiści zachęceni udałym zamachem w Portugalii postanowili zgładzić wysoce cennego prezesa krakowskiego Stowarzyszenia właścicieli realności. Zbrodnia miała być dokonaną podczas ostatniego Zgromadzenia właścicieli realności w sali Rady powiatowej. Dzięki jednak czujności dwóch strażaków pożarnych, którzy stali przed wejściem do sali, zamach się nie udał. Właściciele realności i miłośnicy fałszywych fasji podatkowych z powodu szczęśliwego ocalenia ich prezydenta postanowili urządzić na koszt lokatorów dziękczynne nabożeństwo i ucztę w starym teatrze. Cześć im!

* * *